

KIEDY UMARŁ TEN, KTÓRYM BYŁEM

N. Promet

PUBLICZNE DEMO KSIĄŻKI

Fragment demonstracyjny do wstępnej lektury.

Nie jest to pełna wersja książki.

© N. Promet

Informacja o wersji demo

To publiczna wersja demonstracyjna książki.

Zawiera notę autora, wstęp oraz wybrane fragmenty kilku rozdziałów.

Nie jest pełną wersją książki.

Pełna wersja książki planowana jest jako wydanie drukowane.

W miejscach skrótu zastosowano oznaczenie: [fragment rozdziału].

PUBLICZNE DEMO KSIĄŻKI — © N. Promet

Spis treści pełnej książki

Poniższy spis treści pokazuje pełną strukturę książki. Publiczne demo zawiera notę autora, wstęp oraz wybrane fragmenty rozdziałów I, III, IV i XI.

Nota autora	3
Zanim otworzyłem drzwi	4
Rozdział I. Szare geometrie	9
Rozdział II. Warunki wejścia	18
Rozdział III. Wejść do środka	28
Rozdział IV. Człowiek nie wie, czym dysponuje	37
Rozdział V. Rzeczywistość jako teatr	47
Rozdział VI. Ptaki bez wody	57
Rozdział VII. Zobaczyć wszystko	71
Rozdział VIII. Wrócić do zwykłego świata	98
Rozdział IX. Mapa nie jest terytorium	113
Rozdział X. Wiedza spoza zwykłego myślenia	122
Rozdział XI. Zanim nazwano to narkotykiem	141
Rozdział XII. Kontrola wiedzy	152
Rozdział XIII. Nie dowód, lecz ślad	171
Rozdział XIV. Po co to pisać?	184
Dalej są już tylko drzwi	196
Źródła, badania i lektury przywołane	200
Posłowie	214

Nota autora

O słowie „widziałem”

W tej książce słowa takie jak: „widziałem”, „zobaczyłem”, „byłem tam”, „dotknąłem” czy „doświadczyłem” nie zawsze oznaczają zwykłe widzenie oczami ani fizyczny kontakt z czymś materialnym.

Są próbą opisanego doświadczenia świadomościowego — obecności, uczestniczenia, poznania, obserwowania i bycia wewnątrz zdarzenia, którego nie da się w pełni oddać zwykłym językiem.

Niektóre przeżycia opisywane w tej książce nie były obrazem oglądanym z zewnątrz, lecz stanem, w którym granica między obserwatorem a tym, co obserwowane, przestawała być oczywista.

Dlatego proszę, aby język tych opisów nie był czytany zbyt dosłownie. Jest on jedynie najbliższym możliwym przybliżeniem czegoś, co wydarzało się nie tyle przed oczami, ile w świadomości.

Chciałbym jednak poprosić czytelnika, aby szczególną uwagę zwrócił na słowa i określenia:

- świadomość • energia • istnienie • jaźń

Prawdopodobnie po przeczytaniu tej książki zmienisz definicję tych słów ...

Wstęp

Zanim otworzyłem drzwi

Pierwszy impuls przyszedł przypadkiem.

Nie zaczęło się od „świętej wiary” w UFO, inne byty, duchy i światy równoległe. Nie zaczęło się też od psylocybiny.

Nie zaczęło się od potrzeby „odlotu”, ucieczki od codzienności ani chęci sprawdzenia kolejnej zakazanej ciekawostki. Przez długi czas temat substancji psychodelicznych istniał dla mnie gdzieś na obrzeżach wiedzy — bardziej jako hasło, mit, ostrzeżenie albo element cudzych opowieści niż coś, czym warto byłoby się naprawdę poważnie zająć.

Muszę to powiedzieć jasno, zanim czytelnik automatycznie wrzuci wszystko do jednego worka.

Nie sięgnąłem po psylocybinę po to, żeby się „naćpać”. Nie szukałem kawiarnianej anegdoty, mocnej historii do opowiadania znajomym ani kolorowego odlotu, po którym można następnego dnia powiedzieć: ale było grubo. Nie chodziło o zabawę, ucieczkę od nudy ani chwilowe rozwalenie rzeczywistości dla samego efektu.

To rozróżnienie jest ważne, bo słowo „narkotyk” potrafi przykleić się do wszystkiego jednakowo. Heroina, kokaina, crack, psychodeliki — dla wielu ludzi to jeden worek. Tymczasem motywacja, mechanizm i konsekwencje mogą być zupełnie inne.

Twarde narkotyki często prowadzą człowieka w stronę głodu, przymusu powtórzenia, pogoni za stanem, ucieczki od braku, od bólu, od rzeczywistości. Człowiek nie tyle wybiera kolejne użycie, ile coraz częściej jest przez nie ciągnięty. Zaczyna się układ zależności: dawka, ulga, spadek, głód, następna dawka. I w tym układzie substancja przestaje być środkiem, a zaczyna być panem.

W moim przypadku było inaczej. Nigdy nie było głodu następnej dawki, nie było żadnego przymusu ani potrzeby szybkiego

powtarzania. Miałem i nadal mam jednak głębokie przekonanie, może nawet przeświadczenie, że TO samo mnie „zawoła” — wtedy, gdy będzie potrzebne.

Dlatego nie piszę o psylocybinie jak o rozrywce. Nie piszę też jak o cudownym środku, który każdemu otworzy oczy i naprawi życie. To byłoby równie głupie i niebezpieczne. Piszę o niej jako o bramie — wymagającej, ryzykownej, nieprzewidywalnej, ale w moim przypadku prowadzącej nie do odlotu, tylko do pytań, których zwykła świadomość nie potrafiła już dłużej omijać.

Jestem człowiekiem ciekawym świata i żadnym informacji. W telewizji najchętniej oglądam filmy popularnonaukowe, krajoznawcze, dokumentalne — wszystko, co przybliżało różne aspekty nauki, historii, przyrody i ludzkiego poznania.

Kiedys trafiłem na film dokumentalny o Ameryce Środkowej i rdzennych społecznościach, które w swoich rytuałach używały ayahuaski. Wtedy jeszcze patrzyłem na to z dystansem.

Łatwo było machnąć ręką i powiedzieć: egzotyka, obrzędowość, prymitywne wierzenia, plemienna symbolika... A jednak coś w opisach doznań tych ludzi nie dawało się tak łatwo zignorować. Nie chodziło tylko o same wizje. Bardziej zastanawiające było to, jak często w tych relacjach powtarzały się podobne motywy: wyjście poza zwykłe pocucie siebie, kontakt z czymś większym, utrata lęku, doświadczenie rzeczywistości głębszej niż ta codzienna.

Można było oczywiście uznać to za halucynację, wpływ rytuału, sugestię i działanie substancji. Ale już wtedy gdzieś z tyłu głowy pojawiło się pytanie: dlaczego tak wiele różnych osób mówi o czymś tak podobnym?

Później natknąłem się na informacje o badaniach prowadzonych w Stanach Zjednoczonych¹ — na uniwersytetach, z udziałem grup ochotników i studentów. Nie były to już opowieści z dżungli ani egzotyczne rytuały, które łatwo odsunąć na bok jako coś odległego kulturowo. Byli to ludzie z nowoczesnego świata, badani przez naukowców, opisujący swoje przeżycia językiem współczesnej psychologii i medycyny.

I znów pojawiło się to samo: powtarzalność doświadczeń.

Różni ludzie, różne środowiska, różne oczekiwania — a jednak w opisach powracały podobne elementy. Poczucie jedności. Zanik lęku przed śmiercią. Wrażenie wyjścia poza zwykłe granice „ja”. Przekonanie, że doświadczenie było bardziej realne niż codzienna rzeczywistość.

Dopiero później zrozumiałem, że ta powtarzalność nie była tylko wrażeniem człowieka, który za dużo czyta i zaczyna wszędzie widzieć podobieństwa. W badaniach nad doświadczeniami psychodelicznymi również pojawiały się te same słowa: jedność, przekroczenie zwykłego „ja”, poczucie głębokiego znaczenia, trudność opisu, zmiana stosunku do śmierci. Nie rozstrzygało to jeszcze, czym takie doświadczenia są naprawdę, ale pokazywało, że nie byłem pierwszym człowiekiem, który natrafił na ten sam dziwny układ śladów.

To nie znaczyło jeszcze, że należało w cokolwiek uwierzyć. Ale oznaczało, że nieuczciwe byłoby zamknięcie tematu jednym słowem: „urojenie”.

Potem wydarzyła się rzecz zupełnie zwyczajna.

Wszedłem do małego sklepiku kupić liquid do e-papierosa. Sprzedawcą był młody człowiek, około trzydziestoletni, z wyglądu trochę hipis. Rozmowa zeszła na używki, między innymi marihuanę, którą kilka razy w życiu paliłem, ale która nigdy nie spełniła moich oczekiwań. Nie było w niej dla

mnie nic szczególnie odkrywczego. Raczej rozczarowanie niż przełom.

Wtedy sprzedawca zaczął mówić o magicznych grzybkach. Opowiadał o doświadczeniach, wizjach i przeżyciach związanych z ich użyciem. Najbardziej zapamiętałem jednak nie samą opowieść o wizjach, ale coś innego: wspomniał sytuację, w której podczas rozmowy z jakimś swoim kolegą odkryli, że mieli niemal identyczne obrazy i przeżycia.

W tym momencie w mojej głowie zapaliła się lampka. Od razu wróciłem myślami do wcześniejszych informacji o badaniach uniwersyteckich w USA i do opisów ludzi po ayahuasce. Znowu pojawił się ten sam motyw: podobieństwo doświadczeń. Różne osoby, różne miejsca, różne okoliczności, a jednak zadziwiająco zbieżne relacje.

Wyszedłem ze sklepu z liquidem, po który przyszedłem, ale tak naprawdę wyniosłem stamtąd coś więcej: pytanie, którego nie potrafiłem już odłożyć.

Przez następne tygodnie, a może miesiące, zacząłem szukać informacji. Czytałem artykuły, oglądałem wywiady, filmy dokumentalne, relacje ludzi po doświadczeniach z psylocybiną, ayahuascą i San Pedro. Trafiałem na teksty naukowe, popularnonaukowe, psychologiczne, duchowe, sceptyczne i całkiem osobiste. Szukałem wszędzie tam, gdzie mogłem znaleźć choćby fragment odpowiedzi.

Nie oznaczało to jeszcze, że wszyscy mieli rację. Ale coraz trudniej było mi przyjąć, że przez tysiące lat, w różnych kulturach i cywilizacjach, ludzie opisywali podobne doświadczenia zupełnie bez powodu.

Coraz mocniej czułem, że musi istnieć „coś”, czego większość ludzi nie zauważa, odrzuca z góry albo zbywa jako mrzonki, mity i wytwory chorego umysłu. Coraz trudniej było mi uwierzyć, że za tysiącami podobnych relacji nie kryje się absolutnie nic.

Z czasem trafiłem również na sklepy oferujące gotowe growkity różnych gatunków i odmian grzybów psychodelicznych. Sam fakt ich istnienia uświadomił mi, że wokół tego tematu powstał cały osobny świat: doświadczeń, ostrzeżeń, fascynacji, kontrowersji i bardzo konkretnych decyzji.

Zanim jednak pojawiła się jakakolwiek decyzja, zacząłem czytać o bezpieczeństwie, przeciwwskazaniach, przygotowaniu psychicznym i fizycznym, o znaczeniu nastawienia, otoczenia oraz

odpowiedzialności.

Im więcej czytałem, tym wyraźniej rozumiałem, że nie jest to temat do lekkomyślnej zabawy. Jeśli w ogóle miałem zrobić krok dalej, nie mogło to być z ciekawości na poziomie: „zobaczmy, co będzie”. To musiała być decyzja świadoma.

W końcu pozostało pytanie, którego nie dało się już odsunąć: zrobić krok naprzód i spróbować samemu, czy zostać po stronie obserwatora, który czyta, słucha i ocenia z bezpiecznej odległości?

Zawsze wychodziłem z założenia, że pewnych rzeczy nie da się naprawdę zrozumieć wyłącznie z opisu. Można przeczytać setki relacji o ogniu, ale to nie to samo, co poczuć jego ciepło na własnej skórze. Można słuchać opowieści ludzi wracających „stamtąd”, ale dopóki samemu stoi się tylko po tej stronie drzwi, każda ocena pozostaje niepełna.

Nie była to decyzja lekka. Nie była też podjęta pod wpływem chwili. Raczej dojrzewała powoli, jak pytanie, które z czasem przestaje być ciekawostką, a zaczyna domagać się osobistej odpowiedzi.

W końcu pomyślałem: raz kozie śmierć.

Kupiłem dwa gatunki grzybów.

I w tym miejscu kończy się etap czytania cudzych relacji, oglądania dokumentów, słuchania opowieści i bezpiecznego analizowania z zewnątrz.

Dalej zaczyna się już coś innego.

Nie odpowiedź.

Drzwi...

PUBLICZNE DEMO KSIĄŻKI — © N. Promet

PIERWSZE DRZWI

Szare geometrie

Nie wiem, czego dokładnie się spodziewałem.

To znaczy — oczywiście, miałem jakieś wyobrażenia. Trudno ich nie mieć, kiedy przez tygodnie albo miesiące czyta się relacje ludzi, ogląda filmy dokumentalne, słucha opowieści o wizjach, przebudzeniach, niezwykłych światach i obrazach, których podobno nie da się porównać z niczym znanym z codziennego życia. Człowiek może sobie powtarzać, że jest rozsądny, że nie nastawia się na nic konkretnego. Że nie oczekuje fajerwerków, objawień, kosmicznych istot, aniołów, demonów ani kolorowych, kinowych obrazów w głowie. Może sobie mówić: spokojnie, zobaczę, co będzie.

Ale to tylko część prawdy.

Bo gdzieś głębiej oczekiwania już istnieją. Nawet jeśli człowiek ich nie wypowiada, nawet jeśli udaje przed samym sobą, że jest czystą kartą, to ta kartka wcale nie jest pusta. Są na niej cudze opowieści, przeczytane relacje, zasłyszane historie, obrazy z filmów dokumentalnych, ostrzeżenia, zachwyty i cała ta kolorowa legenda, która obrosła psychodeliki jak mech stary kamień.

Może miały przyjść kolory. Może niezwykle pejzaże. Może twarze, postacie, istoty, światło, symbole, coś pięknego i niepojętego. Może coś, co od pierwszej chwili powie: tak, jesteś gdzie indziej.

Nie oczekiwałem zabawy. Nie szukałem zwykłego odlotu. Nie chodziło mi o to, żeby się „najarać” inną wersją rzeczywistości, zobaczyć ruchome tapety na ścianie i następnego dnia opowiadać komuś przy kawie, jakie to było niesamowite.

Gdyby chodziło tylko o przyjemność albo ciekawostkę, prawdopodobnie w ogóle bym tego nie zrobił.

Chciałem sprawdzić, czy za tym wszystkim rzeczywiście „coś” jest. Czy w tych tysiącach relacji, w opowieściach ludzi z różnych kultur, czasów i środowisk, w badaniach prowadzonych przez naukowców, w rytuałach starszych niż nasze dzisiejsze pojęcie cywilizacji, istnieje jakiś wspólny rdzeń. Coś, czego nie da się zbyć jednym wzruszeniem ramion.

I pewnie dlatego, mimo całego rozsądku, jakaś część mnie czekała na znak. Na potwierdzenie. Na coś większego niż zwykłe działanie substancji.

Tymczasem nie przyszło nic takiego... Przyszła ciemność.

Nie była to jednak zwykła ciemność zamkniętych oczu. Nie była to czarna pustka, jaką widzi się wtedy, gdy gaśnie światło albo gdy przykrywa się twarz dłońmi. Ta ciemność miała strukturę.

Była żywa, choć pozbawiona barw. Była nieruchoma i ruchoma jednocześnie. Nie rozlewała się beładnie. Nie była chaosem. Miała w sobie jakiś porządek, którego nie rozumiałem, ale którego nie mogłem też zignorować.

Zaczęły pojawiać się linie.

Najpierw delikatne, jakby ledwie zaznaczone. Potem coraz wyraźniejsze. Szare, grafitowe, czasem niemal srebrne, ale bez blasku. Nie tworzyły obrazów w zwykłym sensie tego słowa. Nie układały się w krajobrazy, twarze ani sceny. Bardziej przypominały geometryczne układy, które same siebie przesuwają, składają i rozkładają.

Prostokąty, kwadraty, płaszczyzny, segmenty. Rzędy form, które nachodziły na siebie, oddalały się, przesuwają w bok albo zapadały w głąb.

Nie było w tym przypadkowości. A przynajmniej ja jej nie czułem.

To nie wyglądało jak zwykłe plamy pod powiekami, jak męty, błyski albo przypadkowe efekty zmęczenia oczu. Było w tym coś uporządkowanego, chłodnego, niemal technicznego. Jakby ktoś pokazał mi nie gotowy obraz, ale samą konstrukcję obrazu. Nie pejzaż, lecz rusztowanie. Nie świat, lecz jego szkic techniczny.

Patrzyłem — chociaż nie oczami.

Właśnie dlatego potrzebna jest nota na początku tej książki, bo gdy piszę „patrzyłem”, nie chodzi o zwykłe widzenie. Oczy miałem zamknięte. Nie oglądałem filmu wyświetlanego przede mną jak na ekranie. Raczej uczestniczyłem w czymś, co działo się w przestrzeni świadomości.

Nie było to jednak pełne wejście.

Nie byłem jeszcze „tam” w takim znaczeniu, jakie poznałem później. Nie było zanurzenia, utraty granic, spotkania, rozmowy, jakiejś „obecności” czy tego trudnego do opisania poczucia, że człowiek nie ogląda doświadczenia, lecz znajduje się wewnątrz niego.

To było raczej pierwsze uchylenie drzwi.

Jakby ktoś pozwolił mi zajrzeć do przedsionka, ale nie zaprosił dalej. Jakby za zasłoną rzeczywistości istniał jakiś mechanizm — chłodny, obcy, matematyczny — a ja przez krótką chwilę widziałem tylko jego najniższą warstwę.

Nie było w tym piękna, którego się spodziewałem. Nie było zachwytu, objawienia ani eksplozji kolorów. Była szarość, były geometryczne formy i było wrażenie, że coś się porusza, ale nie dla mnie. Jakby ten świat — jeśli można go tak nazwać — nie próbował mnie oczarować, przywitać ani niczego wyjaśnić. Po prostu istniał, obojętny wobec mnie i moich oczekiwań.

I to było chyba najbardziej zaskakujące.

Bo człowiek, nawet jeśli uważa się za rozsądnego, gdzieś w środku nadal oczekuje, że doświadczenie odpowie na jego wyobrażenia. Że jeśli tyle osób opowiadało o kolorach, świetle, niezwykłych wizjach i spotkaniach z czymś większym, to właśnie coś takiego powinno nadejść.

Ale nie nadeszło.

Zamiast tego dostałem surowy, ciemny, geometryczny język, którego nie rozumiałem.

Próbowałem się temu przyglądać. Nie walczyć, nie oceniać zbyt szybko, nie przerywać. Skoro już zdecydowałem się wejść w to doświadczenie, chciałem pozwolić mu być takim, jakie jest. Ale im dłużej trwało, tym mocniej czułem, że moje wyobrażenia zaczynają się rozsypywać.

To nie była bajka i to nie był kolorowy sen. To nie była psychodeliczna pocztówka z innego świata. To było coś znacznie bardziej oszczędnego, zimnego i niejednoznacznego.

Nie potrafiłem wtedy powiedzieć, czy to ma znaczenie. Nie wiedziałem, czy oglądam coś ważnego, czy tylko przypadkowe efekty działania substancji na mózg. Nie miałem jeszcze języka, którym mógłbym to opisać. Nie miałem też pewności, czy w ogóle warto przypisywać temu jakąkolwiek głębię.

Ale jedno było jasne — stało się coś, czego wcześniej nie znałem.

Nie było to zgodne z moimi oczekiwaniami. Nie było spektakularne w sposób, którego się spodziewałem. Nie przyszło jako objawienie, światłość ani zachwyt. Przyszło jako szara geometria — cicha, chłodna, obca i dziwnie uporządkowana.

Kiedy doświadczenie zaczęło słabnąć, nie miałem poczucia wielkiego odkrycia. Nie wyszedłem z niego odmieniony. Nie

czułem, że oto dotknąłem tajemnicy wszechświata... Czułem raczej zdziwienie i lekkie rozczarowanie, bo przecież nie tak miało być. A przynajmniej nie tak to sobie wyobrażałem.

Powrót do zwykłej rzeczywistości nie był dramatyczny. Nie było żadnego gwałtownego lądowania, żadnego szarpnięcia, żadnej wielkiej sceny końcowej. Raczej powolne opadanie. Jakby coś, co przed chwilą było obecne za zamkniętymi oczami, zaczynało się oddalać, błędnać i znikać w tle.

Pokój był ten sam. Światło było to samo. Ciało było moje. Rzeczy stały na swoich miejscach.

[fragment rozdziału]

dziwny porządek bez treści? Ten przedsięwzięcie bez zaproszenia?

Tego nie oczekiwałem i właśnie dlatego zapamiętałem to tak wyraźnie.

Pierwsze doświadczenie nie było spełnieniem moich wyobrażeń. Było ich korektą. Nie pokazało mi jeszcze odpowiedzi, pokazało mi, że moje pytania są ustawione zbyt prosto.

Nie dało mi pewności – dało mi szczelinę.

A czasem szczelina wystarczy, żeby człowiek już nigdy nie patrzył na ścianę tak samo.

CZEŚĆ III

Wejść do środka

Ciało. Żyjemy w nim od pierwszego oddechu. Nosimy je wszędzie ze sobą. Dzięki niemu widzimy, chodzimy, oddychamy, dotykamy, czujemy ból, zmęczenie, przyjemność, głód, ciepło, zimno i ciężar własnego istnienia.

A mimo to przez większość życia traktujemy je trochę jak urządzenie, które ma po prostu działać. Dopóki działa — nie pytamy zbyt wiele.

Dopiero kiedy zaczyna szwankować, przypominamy sobie, że nie jesteśmy tylko myślą zawieszoną w pustce. Że świadomość, choć potrafi bujać wysoko, ma swój tymczasowy adres. Ma mięśnie, naczynia, kości, nerwy, płuca, serce, brzuch, skórę. Ma swoje ograniczenia. Ma swoje alarmy. Ma miejsca, które bolą, sztywnieją, słabną, odmawiają posłuszeństwa albo po prostu przypominają, że czas w naszym rozumieniu nie jest pojęciem filozoficznym, tylko czymś, co zapisuje się w tkankach.

Ciało nie dyskutuje długo. Ciało mówi krótko: boli. I to wystarcza.

W moim przypadku temat ciała nie był abstrakcją. Nie był rozważaniem człowieka, który w idealnym zdrowiu nagle odkrył, że ma organizm. Były wcześniejsze problemy, ograniczenia, ból, cholesterol i naczynia krwionośne, sygnały, których nie dało się zignorować. Były dni lepsze i gorsze. Było zwyczajne, codzienne mierzenie się z tym, że ciało nie zawsze chce współpracować z planami głowy.

Człowiek może sobie wymyślić wiele rzeczy, ale jeśli boli noga, jeśli organizm stawia opór, jeśli ruch przestaje być oczywisty, wtedy filozofia szybko schodzi z ambony i siada obok na krześle.

Nie chodziło o dramat i nie chodziło o robienie z siebie ofiary własnego organizmu. Każdy, kto trochę pożył, wie, że ciało potrafi wystawić rachunek. Czasem za lata zaniedbań i brak rozsądku, czasem

za przypadek, czasem za geny, czasem za zwykłe zużycie materiału.

Nie ma tu wielkiej tajemnicy – jest biologia, wiek, historia życia i konkretne objawy.

Ale po wcześniejszych doświadczeniach zaczęło pojawiać się pytanie, którego wcześniej bym sobie w ten sposób nie zadał: czy świadomość może wejść w ciało inaczej niż tylko przez ból?

Bo zwykle poznajemy ciało od zewnątrz albo przez sygnał awarii. Patrzymy na nie w lustrze, dotykamy skóry, czujemy napięcie mięśni. Idziemy do lekarza, robimy badania, patrzymy na wyniki, słuchamy diagnoz, opisów, nazw. To jest „tu” i „teraz” potrzebne i nie wolno tego lekceważyć, bo nasza świadomość jest głównie „teraz”, „tutaj” i musimy dbać o jej tymczasową biologiczną powłokę.

Ale nadal pozostaje w tym pewien dystans. Ciało jest obiektem obserwacji, czymś badanym, mierzonym, opisywanym. A mnie zaczęło interesować coś innego: czy można spróbować wejść do środka?

Nie w sensie anatomicznym. Nie jak chirurg, nie jak kamera endoskopowa, nie jak podręcznik medycyny pokazujący przekrój naczyń albo tkanki. Chodziło o wejście świadomością. O skierowanie uwagi tam, gdzie zwykle trafia ona dopiero wtedy, gdy coś boli.

O sprawdzenie, czy w doświadczeniu można nie tylko obserwować obrazy, kolory, geometrie i przestrzenie, ale także zwrócić się ku własnemu ciału jako miejscu, które również może być poznawane od wewnątrz.

To pytanie nie przyszło od razu jako gotowa idea. Raczej dojrzewało powoli, na styku zdrowia, bólu, ciekawości i tego wszystkiego, co zaczynałem rozumieć o intencji.

Skoro intencja nie jest życzeniem, nie jest zamówieniem składanym do niewidzialnej obsługi wszechświata, tylko kierunkiem świadomości, to czy takim kierunkiem może być własne ciało?

Nie: „uzdrow mnie”, „napraw to natychmiast”, „zrób cud, bo ja tak chcę”... Raczej: pozwól mi zobaczyć, co się tam dzieje. Pozwól mi wejść głębiej. Pozwól mi skierować uwagę tam, gdzie na co dzień dociera tylko ból.

To była intencja zdrowotna, ale nie w sensie magicznej prośby o natychmiastowe uzdrowienie. Bardziej jak próba ustawienia reflektora. Jak decyzja, że tym razem nie chcę płynąć za przypadkowymi obrazami, nie chcę czekać na to, co samo się pojawi, tylko chcę delikatnie, ostrożnie, bez przemocy wobec doświadczenia skierować uwagę do wnętrza ciała.

I tutaj zaczyna się rzecz trudna do opisan... bo kiedy piszę „wnętrze ciała”, łatwo wyobrazić sobie film biologiczny: czerwone tunele, naczynia, tkanki, komórki, jakieś podręcznikowe obrazy z atlasu anatomii. Ale to nie było takie proste.

To nie było oglądanie organizmu jak na ekranie edukacyjnym – nie pojawił się podpis: „tu znajduje się problem, proszę spojrzeć na lewo”. Nie było mapy, było raczej poczucie skierowania.

Jakby świadomość, która wcześniej poruszała się w przestrzeni obrazów, muzyki i obecności, zaczęła obracać się ku czemuś znacznie bliższemu, a jednocześnie trudniejszemu do uchwycenia. Ku ciału nie jako bryle, którą można dotknąć ręką, ale jako istniejącemu obszarowi, w którym dzieje się coś nieustannie, choć na co dzień nie

mamy do tego świadomego dostępu.

W zwykłym stanie człowiek czuje skutki: ból, ucisk, zmęczenie, napięcie. Rzadko czuje proces. Rzadko ma wrażenie, że może dotknąć samego mechanizmu, zanim ten wyrazi się objawem.

Tam pojawiło się coś innego.

Nie powiem, że „zobaczyłem chorobę” — to byłoby za proste i zbyt pretensjonalne. Nie powiem też, że „zobaczyłem złogi” w medycznym sensie, bo nie mam prawa tak tego nazwać. To nie było badanie obrazowe, nie był wynik laboratoryjny, nie był dowód kliniczny.

Ale w języku doświadczenia pojawiło się bardzo wyraźne poczucie czegoś, co można nazwać zabrudzeniem, syfem na ściankach żył i tętnic... czymś nie na miejscu. Czymś, co przeszkadza, zalega, blokuje albo utrudnia przepływ krwi.

Nie wiem, czy to była symboliczna reprezentacja problemu, czy sposób, w jaki mózg przetworzył moje wcześniejsze obawy zdrowotne, czy też coś, czego nie umiem ująć w żadną gotową kategorię. Wiem tylko, że wewnątrz doświadczenia nie miało to charakteru luźnej metafory.

To było odczuwane jako konkret. Nie jako myśl: „mam problem zdrowotny”, ale jako obecność czegoś, z czym można coś zrobić.

I wtedy pojawiło się działanie. To słowo też wymaga ostrożności.

Nie chodzi o działanie rąk, nie chodzi o fizyczne manipulowanie czymkolwiek. Nie chodzi o to, że świadomie sterowałem naczyniami, komórkami albo jakimś medycznym procesem. Takich twierdzeń nie powinienem i nie mogę stawiać.

Chodzi o działanie w przestrzeni doświadczenia. O poczucie, że świadomość nie jest tylko biernym widzem. Że nie stoi z

boku, nie patrzy na spektakl, nie zapisuje obrazów jak kamera. Może się skupić, może wejść w relację z tym, co się pojawia. Może rozpoznawać, oddzielać, porządkować. Może — przynajmniej w tym świecie przeżycia — uczestniczyć. Odczułem — nie „usłyszałem słów zezwolenia”, ale wiedziałem, że mogę poprosić, niejako zlecić wykonanie przez tę obecność zleconych przeze mnie czynności i prac oczyszczających moje naczynia krwionośne.

Zaczęło się coś, co najbliżej mogę nazwać sprzątaniami... nie mam lepszego słowa.

Wiem, że brzmi zwyczajnie, może nawet zbyt prosto wobec doświadczenia, które trudno opisać, ale właśnie to słowo przychodzi najuczciwiej: sprzątanie. Czyszczenie. Porządkowanie. Oddzielanie czegoś od czegoś. Usuwanie tego, co nie pasuje.

[fragment rozdziału]

Nie dlatego, że od razu staje się dowodem — właśnie dlatego, że nim nie jest.

To jest najtrudniejsze miejsce.

Gdyby można było powiedzieć: badanie przed, badanie po, wynik jednoznaczny, przyczyna ustalona — sprawa byłaby prosta. Można by opisać fakt, postawić kropkę i nie błędzić po domysłach. Ale życie rzadko daje tak czyste układy. Zwłaszcza wtedy, gdy mówimy o doświadczeniu świadomości, ciała, bólu, oczekiwania, emocji i subiektywnego poczucia zmiany.

Dlatego nie nazywam tego dowodem, nazywam to doświadczeniem. Różnica między tymi dwoma zdaniem jest dla mnie jednym z fundamentów całej książki.

„Tak to przeżyłem” nie znaczy: „tak obiektywnie się stało”. „Tak to poczułem” nie znaczy: „mam medyczne potwierdzenie mechanizmu”. „Po tym doświadczeniu ciało

zachowało się inaczej” nie znaczy jeszcze: „wiem, co dokładnie zaszło w organizmie”.

Uczciwość wymaga tej granicy, bez niej bardzo łatwo popaść w tani cud. W opowieść, która może dobrze brzmieć, może przyciąga uwagę, może nawet karmi ego autora, ale traci wiarygodność.

A ja nie chcę pisać książki, w której każde niezwykle przeżycie zostaje natychmiast ogłoszone „prawdą o świecie”. Nie chcę też pisać książki, która ze strachu przed sceptycyzmem będzie udawała, że niezwykle doświadczenia są mniej ważne, niż były.

Trzeba iść wąską ścieżką.

Z jednej strony nie wolno kłamać na rzecz własnej opowieści. Z drugiej — nie wolno zdradzić własnego doświadczenia tylko dlatego, że nie mieści się ono wygodnie w języku dowodu. To napięcie będzie wracało jeszcze wiele razy.

Bo cała ta książka dzieje się właśnie między tymi dwoma zdaniami: „tak to przeżyłem” i „nie wiem, czym to było ostatecznie”.

I może właśnie w tej szczelinie jest miejsce na prawdziwą uczciwość. Nie w pewności, nie w zaprzeczeniu. W opisie.

Po tamtym doświadczeniu z ciałem nie stałem się człowiekiem, który nagle uznał, że świadomość może wszystko. Nie stałem się też kimś, kto potrafi spokojnie powiedzieć: to był tylko efekt substancji, sugestia, chwilowa zmiana odczuwania bólu i nic więcej.

Nie wiem. Ale wiem, że wtedy po raz pierwszy ciało przestało być dla mnie wyłącznie granicą świadomości.

Stało się przestrzenią, do której świadomość może próbować wejść... Nie po to, żeby rządzić ani żeby zastąpić medycynę. Nie po to, żeby ogłaszać cuda, a po to, żeby uczestniczyć.

To był trzeci ważny krok.

Pierwsza podróż pokazała mi, że drzwi istnieją. Druga — że do drzwi trzeba umieć podejść. Trzecia pokazała, że jedne z tych drzwi mogą prowadzić nie w kosmos, nie do innych światów, nie ku obcym obecnościom, ale do najbardziej własnego i jednocześnie najbardziej tajemniczego miejsca, jakie człowiek posiada.

Do ciała. A ciało, jak się okazało, też ma swoje ciemne korytarze.

PUBLICZNE DEMO KSIĄŻKI — © N. Promet

CZEŚĆ IV

Człowiek nie wie, czym dysponuje

To zdanie może brzmieć przesadnie. Może nawet górnolotnie. Sam jeszcze jakiś czas temu pewnie odłożyłbym je na bok jako jedną z tych wielkich formuł, które dobrze wyglądają na okładce książki, ale niewiele znaczą w zwykłym życiu.

Bo przecież człowiek niby wie, czym dysponuje.

Ma rozum, pamięć, doświadczenie, ciało, emocje, wyobraźnię, język, zdolność planowania, analizowania i wyciągania wniosków. Potrafi pracować, budować, naprawiać, liczyć, kochać, kłócić się, kombinować, tworzyć, niszczyć, bać się i marzyć.

A jednak po tych doświadczeniach coraz mocniej czuję, że to tylko powierzchnia.

Większość ludzi używa świadomości tak, jak używa się latarki w ciemnym pokoju. Świeci się nią tu i tam, żeby nie potknąć się o krzesło, znaleźć klucze, ominąć przeszkodę, dojść do drzwi. To potrzebne. Bez tego trudno funkcjonować. Ale sama latarka nie przestaje być zdolna do świecenia dalej tylko dlatego, że zwykle kierujemy ją pod nogi.

Nasza codzienna świadomość jest zajęta przeżyciem dnia... praca, zakupy, rachunki, telefony, lęki, plany, przyzwyczajenia, małe wojny, małe zwycięstwa, małe porażki.

Człowiek myśli, co trzeba zrobić, czego uniknąć, komu odpowiedzieć, co naprawić, czego się bać, co kupić, komu nie ufać, co ugotować, ile zostało pieniędzy, czy zdrowie jeszcze wytrzyma, czy świat całkiem już zwariował, czy jutro będzie lepiej, czy gorzej.

I w tym wszystkim świadomość pracuje bez przerwy, ale pracuje w trybie przetrwania — nie w trybie poznania.

To nie jest zarzut. Tak działa życie.

Gdyby człowiek każdego ranka budził się z pełnym otwarciem na tajemnicę istnienia, prawdopodobnie nie doszedłby nawet do kuchni, bo zatrzymałby się na widoku własnej dłoni, światła na ścianie albo świadomości, że w ogóle istnieje. Codziennność wymaga zawężenia. Wymaga uproszczenia. Wymaga automatu.

Trzeba umieć wstać, umyć zęby, nakarmić psa, zapłacić rachunek, odpowiedzieć na wiadomość, przejść przez ulicę i nie rozmyślać przy każdym kroku o nieskończoności. Dlatego zwykła świadomość jest praktyczna.

Ale praktyczność ma swoją cenę. Tą ceną jest zawężenie.

Przez większość życia wydaje nam się, że świadomość służy głównie do myślenia. Do rozwiązywania problemów. Do oceniania, planowania, porównywania, nazywania. Kiedy mówimy „używam głowy”, zwykle mamy na myśli analizę. Rozkładanie rzeczy na części. Szukanie przyczyn i skutków. Układanie faktów w logiczną kolejność.

To bardzo ważne. Bez tego człowiek byłby bezradny wobec świata.

Myślenie pozwala naprawić urządzenie, zrozumieć instrukcję, odróżnić prawdę od bzdury, nie dać się oszukać pierwszej lepszej bajce sprzedawanej z poważną miną. Ale myślenie to nie całe poznanie. Myślenie analizuje kawałki. Głębsze poznanie obejmuje całość.

Ta różnica zaczęła do mnie docierać dopiero wtedy, gdy doświadczenia przestały mieścić się w zwykłym trybie rozumowania. Bo myślenie działa po kolei. Najpierw jedno, potem drugie. Zdanie po zdaniu. Wniosek po wniosku. Przyczyna, skutek, porównanie, ocena. To przypomina

czytanie tekstu linijka po linijce.

Ale są chwile, w których świadomość nie czyta linijek.

Widzi całą stronę naraz.

Nie chodzi o dosłowne widzenie oczami. Chodzi o sposób poznania. O nagłe objęcie relacji, sensu, struktury, zależności. Coś, czego normalnie trzeba by długo tłumaczyć, pojawia się jako jedno pole znaczenia. Nie jako zdanie czy definicja, nie jako wykład – ale jako

bezpośrednie „wiem”.

Nie wiem, bo sobie wymyśliłem. Nie wiem, bo ktoś powiedział. Nie wiem, bo wyprowadziłem logiczny dowód. Wiem, bo coś zostało objęte całością.

To jest bardzo trudne do opisanego, bo nasz język jest zbudowany głównie do opowiadania po kolei.

A tam nie wszystko dzieje się po kolei. Czasem doświadczenie przynosi całe skupisko sensu naraz, a dopiero później człowiek próbuje to rozpakować na zdania. I wtedy zaczyna się problem, bo każde zdanie jest za wąskie.

Każde słowo wybiera jeden kierunek i pomija resztę. To trochę tak, jakby próbować opisać jednym przewodem całą burzę.

Da się przesłać sygnał. Nie da się przesłać nieba.

W zwykłym życiu większość z nas utożsamia świadomość z wewnętrznym głosem. Z tym kimś w głowie, kto komentuje, planuje, ocenia, wspomina, przewiduje, martwi się i czasem nie potrafi się zamknąć nawet wtedy, gdy człowiek bardzo by tego chciał. Ten głos jest nam tak znajomy, że łatwo uznać go za centrum samego siebie.

Ale po tych doświadczeniach coraz wyraźniej widzę, że myślenie jest tylko jedną z czynności świadomości, nie jej całością.

Świadomość może myśleć, ale może też obserwować myślenie. Może odczuwać, ale może też widzieć emocję, zanim ta porwie człowieka za gardło. Może być skupiona na jednym bólu, ale może też rozszerzyć się tak, że ból staje się tylko jednym elementem większego pola. Może tkwić w języku, ale może też na chwilę znaleźć się przed językiem, tam gdzie sens jeszcze nie został ubrany w słowa.

I wtedy pojawia się pytanie: co właściwie jest naszym podstawowym narzędziem poznania?

Rozum? Zmysły? Język? Mózg? A może świadomość, która korzysta z nich wszystkich, ale nie musi się do nich całkowicie ograniczać?

Nie chcę tutaj budować teorii ostatecznej. Nie mam zamiaru udawać, że potrafię rozstrzygnąć spór filozofów, neurologów, psychologów i mistyków. Nie piszę traktatu akademickiego.

Piszę o tym, co przeżyłem i co z tych przeżyć zaczęło wynikać dla mojego rozumienia człowieka.

A wynikało coraz mocniej jedno: człowiek używa świadomości w bardzo wąskim zakresie. Jakby miał w domu potężne narzędzie, ale korzystał z niego głównie do otwierania kapsli. Nie dlatego, że jest głupi. Raczej dlatego, że nikt go nie nauczył inaczej.

Od dziecka uczymy się nazywać świat... To jest stół. To jest krzesło. To jest mama. To jest dom. To jest dobre. To jest złe. Tego wolno, tego nie wolno. Tego się bój. To jest śmieszne. To jest normalne. To jest niemożliwe. To jest głupie. To jest prawda. To jest zabobon. To jest rozsądek.

Język porządkuje świat, ale też go tnie. Kultura daje nam mapę, ale mapa nie jest terenem.

Edukacja daje narzędzia, ale jednocześnie uczy, które pytania uważać za poważne, a które wyrzucić do kosza z

napisem „dziwactwa”. Społeczeństwo uczy ról. Ego buduje opowieść o sobie. Pamięć wybiera, co pasuje do tej opowieści, a co lepiej zakopać. Lęk ustawia granice. Ciało przypomina o przetrwaniu. Zdrowy rozsądek pilnuje, żeby człowiek nie odleciał za daleko.

To wszystko są filtry, nie wrogowie. Filtry.

To ważne rozróżnienie. Nie uważam, że codzienna świadomość jest jakimś więzieniem stworzonym po to, żeby nas oszukać. To byłoby zbyt proste. Filtry są potrzebne. Bez nich świat mógłby stać się nie do zniesienia. Ilość bodźców, znaczeń, wspomnień, lęków, możliwych interpretacji i ukrytych powiązań mogłaby człowieka zalać i przy obecnym poziomie rozwoju świadomości człowieka naprawdę niewiele byśmy z tego zrozumieli.

Filtr chroni, ale każdy filtr także ogranicza.

[fragment rozdziału]

oczyma.

Pokój nadal był pokojem. Ciało nadal było ciałem. Pies nadal chciał iść na spacer. Rachunki nadal trzeba było płacić. Komputer nadal potrafił robić psikusy w najmniej odpowiednim momencie, a ludzie nadal potrafili gadać głupoty z absolutną pewnością siebie.

Świat się nie rozpuścił. Ale zrobił się głębszy, większy, nie do ogarnięcia myślą czy rozumem.

Jakby pod powierzchnią zwykłych rzeczy pojawiła się druga, trzecia i następna warstwa.

Nie taka, którą trzeba koniecznie nazwać religijnie, mistycznie albo naukowo. Po prostu głębsza. Bardziej połączona. Mniej oczywista. Jakby wszystko, co wcześniej było osobne, zaczęło mieć ukryte przejścia.

I wtedy świadomość przestała być dla mnie tylko „moją świadomością”.

Stała się pytaniem: czym ona naprawdę jest? Jak daleko może sięgnąć? Co potrafi objąć? Co zostaje zasłonięte przez filtry codzienności?

Ile z tego, co nazywam „rzeczywistością”, jest rzeczywistością samą, a ile wersją przepuszczoną przez ciało, język, pamięć, lęk i wychowanie?

W tej chwili wypada powiedzieć: nie znam pełnych odpowiedzi.

Ale już samo pojawienie się tych pytań zmieniło wszystko.

Bo człowiek, który choć raz zobaczy, że jego zwykły sposób poznawania nie jest jedynym możliwym, nie może już całkiem wrócić do dawnej pewności. Może żyć „normalnie”. Może rozmawiać, żartować, pracować, naprawiać komputer, pić kawę, marudzić na absurdy świata i cieszyć się zwykłymi rzeczami. Ale gdzieś pod spodem zostaje pęknięcie. A przez to pęknięcie wpada światło.

Nie zawsze przyjemne i łatwe. Czasem wręcz kłopotliwe, bo odbiera luksus prostych odpowiedzi. Ale prawdziwe w tym sensie, że nie pozwala już udawać, że człowiek jest tylko zbiorem codziennych odruchów, poglądów, wspomnień i przyzwyczajień.

Świadomość okazała się czymś większym niż myślenie, większym niż pamięć, większym niż komentarz w głowie.

Nie wiem, czy można ją nazwać potęgą bez ryzyka przesady. Ale jeśli potęgą jest zdolność przekraczania własnych dotychczasowych granic poznania, to nie znajduję lepszego słowa.

Potęga świadomości nie polega na tym, że człowiek nagle wie wszystko. Polega na tym, że może odkryć, jak mało wiedział o samym narzędziu poznania i może zacząć używać

go inaczej.

Nie do ucieczki od świata, nie do budowania własnej wyjątkowości, nie do produkowania wielkich teorii po każdym wewnętrznym błysku. Do głębszego rozumienia: ciała, lęku, śmierci, relacji, cierpienia, czasu, sensu i istnienia. Do zobaczenia, że życie nie kończy się na tym, co akurat mieści się w codziennym filtrze. Do zauważenia, że człowiek nie jest tylko tym, co o sobie myśli.

I może właśnie dlatego ta część jest dla mnie tak ważna.

Bo wcześniej szukałem odpowiedzi na pytanie, czy „tam” coś jest, a potem zaczęło do mnie docierać, że równie ważne jest inne pytanie: kto właściwie patrzy?

Jeśli pierwsze drzwi pokazały, że istnieje coś poza zwykłym obrazem świata, drugie nauczyły mnie, jak przygotować się do wejścia, a trzecie skierowały uwagę do ciała, to teraz pojawiło się pytanie najtrudniejsze.

Nie o wizję czy „obecności”. Nie o zdrowie. O samą świadomość.

Bo być może największą tajemnicą nie jest to, co człowiek może zobaczyć po drugiej stronie drzwi. Być może największą tajemnicą jest to, że istnieje ktoś, kto może je zobaczyć.

CZEŚĆ XI

Zanim nazwano to narkotykiem

Zanim nazwano to narkotykiem, nazywano to inaczej.

Lekarstwem. Rośliną świętą. Nauczycielem. Darem.
Kluczem. Bramą. Ciałem ducha. Pokarmem bogów.
Sposobem rozmowy z tym, co zwykle milczy.

Współczesny człowiek bardzo łatwo traci pamięć historyczną.

Żyje w języku własnej epoki i wydaje mu się, że ten język jest naturalny, oczywisty i ostateczny. Jeśli dziś jakieś słowo zostaje przypięte do substancji, praktyki albo doświadczenia, szybko zaczynamy wierzyć, że tak było zawsze.

„Narkotyk”.

Jedno słowo.

Ciężkie, brudne, policyjne, medialne, społeczne. Słowo, które natychmiast ustawia scenę. Jest substancja, jest zagrożenie, jest upadek, jest człowiek, który się odurza, ucieka, niszczy, traci kontrolę, wypada z normalnego świata.

To słowo zamyka więcej drzwi, niż otwiera.

Czasem słusznie ostrzega, ale często też osłepia.

Bo zanim współczesne państwa, ustawy, wojny narkotykowe, klasyfikacje substancji, kampanie strachu i społeczne etykiety ułożyły ten temat po swojemu, ludzie przez tysiące lat wchodzili w odmienne stany świadomości w zupełnie innych ramach.

Rytuał. Ceremonia. Leczenie. Kontakt z przodkami.
Rozmowa z duchami. Podróż do innych światów. Prośba o wiedzę. Rozpoznanie choroby. Przejście inicjacyjne.
Przywrócenie równowagi.

Nie chodzi o to, żeby idealizować przeszłość.

Dawne kultury nie były bajkowym ogrodem mądrości, w którym wszyscy żyli w harmonii z naturą, a każdy szaman był czystym przewodnikiem światła. To naiwna pocztówka, którą nowoczesny człowiek lubi sobie kupować, gdy zmęczy się supermarketem i ekranem telefonu.

Przeszłość była twarda.

Była pełna chorób, przemocy, głodu, lęku, walki, przesądów i błędów.

Ale miała coś, co my często straciliśmy: powagę wobec doświadczeń granicznych.

Nie wszystko, co zmieniało świadomość, było traktowane jak zabawa. Nie wszystko, co wyprowadzało człowieka poza zwykły stan, było od razu śmieciem poznawczym. Nie wszystko, co przynosiło wizje, było sprowadzane do „naćpania”.

W wielu kulturach odmienne stany świadomości miały swoje miejsce. Były niebezpieczne, dlatego wymagały formy. Były silne, dlatego wymagały rytuału. Były nieprzewidywalne, dlatego wymagały przewodnika. Były zbyt ważne, żeby zostawić je przypadkowi.

To jest ogromna różnica.

Współczesny człowiek często widzi substancję i jednostkę. Ktoś coś przyjął, coś zobaczył, coś przeżył. Prywatna sprawa, prywatne ryzyko, prywatna halucynacja.

Ale w dawnych kontekstach często widziano relację znacznie szerszą: człowiek, wspólnota, choroba, duchy, przodkowie, świat zwierząt, świat roślin, porządek kosmosu, rytuał, śpiew, taniec, ciało, strach, oczyszczenie, powrót.

Nie sam „trip”.

Cała brama.

I właśnie dlatego warto mówić o starych bramach.

Nie po to, żeby przepisywać cudze tradycje na własne potrzeby. Nie po to, żeby człowiek z miasta, z laptopem, routerem Wi-Fi i kontem w

banku udawał nagle amazońskiego szamana albo andyjskiego curandero.

To byłoby śmieszne, a czasem również bezczelne.

Chodzi o coś prostszego i uczciwszego: o pamięć, że człowiek od bardzo dawna podejrzewał, iż zwykły stan świadomości nie jest jedynym sposobem kontaktu z rzeczywistością.

Szaman jest jedną z najstarszych figur tej pamięci.

Nie chcę używać tego słowa jak ozdoby. Dziś „szaman” bywa wszystkim: terapeutą, coachem, muzykiem z bębenkiem, sprzedawcą warsztatów, internetową marką, egzotycznym kostiumem, duchowym influencerem.

Słowo zostało rozciągnięte do granic wytrzymałości.

Ale jeśli odsunąć współczesny hałas, zostaje bardzo stary wzorzec.

Człowiek, który podróżuje nie w zwykłej przestrzeni, lecz w świadomości.

Szaman w wielu kulturach nie był tylko dziwakiem od wizji.

Pełnił funkcję społeczną. Leczył albo próbował leczyć.

Rozpoznawał, gdzie została naruszona równowaga.

Kontaktował się ze światem duchów, przodków, zwierząt, roślin, sił, które dana kultura uznawała za realne.

Pomagał wspólnocie przejść przez chorobę, stratę, lęk, śmierć, konflikt, nieurodzaj, nieszczęście.

Był kimś pomiędzy.

Między światem zwykłym a niezwykłym. Między ciałem a duchem. Między jednostką a wspólnotą. Między chorobą a sensem. Między tym, co widać, a tym, co trzeba zobaczyć

inaczej.

Nie musimy dziś przyjmować wszystkich dawnych wyjaśnień dosłownie, żeby zauważyć wagę tej funkcji.

Możemy powiedzieć językiem współczesnym: szaman pracował z narracją, symbolem, emocją, transowym stanem świadomości, wspólnotowym rytuałem, oczekiwaniem, sugestią, ciałem, muzyką,

[fragment rozdziału]

mesa, pracy z chorobą i losem człowieka.

Jego nazwa „San Pedro” sama niesie już ślad spotkania dwóch światów: rdzennego i chrześcijańskiego. Święty Piotr, ten od kluczy. Kaktus jako brama.

Peyotl w tradycjach rdzennych Ameryki Północnej i w Native American Church jest sakramentem, lekarstwem, centrum nocnej modlitwy, śpiewu, wspólnoty, uzdrowienia, pamięci i przetrwania.

Nie jest produktem dla turysty szukającego „mocnego doświadczenia”. Jest częścią żywej, chronionej, często zagrożonej tradycji.

Grzyby psylocybinowe, szczególnie w tradycjach mezoamerykańskich, także miały swoje miejsce w świecie świętych roślin i istot. Zachodni język przez długi czas mówił o „magic mushrooms”, co brzmi jak kolorowa ciekawostka, ale dla kultur, które znały je od dawna, nie chodziło o atrakcję. Chodziło o kontakt, rozpoznanie, słowo, wizję, uzdrowienie, spotkanie z czymś większym niż zwykłe „ja”.

Rośliny-nauczyciele.

Grzyby-nauczyciele.

To określenie może drażnić człowieka wychowanego w języku laboratoryjnym. Bo jak roślina może uczyć? Przecież

nie ma ust, tablicy, wykładu, dyplomu. Ale może właśnie problem polega na tym, że zbyt wąsko rozumiemy naukę.

Uczenie nie zawsze polega na przekazaniu zdania.

Czasem polega na doprowadzeniu człowieka do stanu, w którym widzi coś, czego wcześniej nie mógł zobaczyć.

Nauczyciel nie zawsze daje informację. Czasem zmienia warunki widzenia.

W takim sensie roślina albo grzyb mogą być „nauczycielem” w języku doświadczenia, nawet jeśli nauka opisze ich działanie przez neurochemię.

Te dwa poziomy nie muszą się wzajemnie kasować.

Można powiedzieć: substancja działa na mózg. I można powiedzieć: doświadczenie nauczyło mnie czegoś o śmierci, ciebie, lęku, współczuciu i granicach „ja”.

Pierwsze zdanie dotyczy mechanizmu.

Drugie znaczenia.

Jedno nie wyczerpuje drugiego.

W wielu kulturach powtarza się motyw innych światów.

Zaświaty. Niebo. Podziemie. Świat duchów. Świat bogów. Świat przodków. Kraina zwierząt. Miejsca, do których trafia dusza. Przestrzenie, w których można spotkać tych, którzy odeszli. Obszary, gdzie szaman, kapłan, prorok, inicjowany albo umierający przekracza zwykłą granicę i wraca z opowieścią.

To jest tak powszechne, że nie wolno przejść obok tego obojętnie.

Oczywiście powtarzalność motywu nie jest dowodem, że wszystkie te światy istnieją obiektywnie w dosłownym sensie. Ludzki mózg może produkować podobne struktury doświadczenia. Ciało, śmierć, sen, trans, gorączka, rytm,

ciemność, głód, samotność, ból, substancje psychoaktywne — wszystko to może prowadzić do powtarzalnych wzorców przeżyć.

Religioznawstwo, antropologia, psychologia i neuronauka mają tu dużo do powiedzenia.

Ale powtarzalność motywu pokazuje coś ważnego: człowiek od zawsze doświadczał granic zwykłej rzeczywistości.

I próbował je opisać.

Różne kultury, często niemające ze sobą bezpośredniego kontaktu, tworzyły opowieści o przejściach, drabinach, tunelach, rzekach, górach, mostach, ptakach, węzłach, świetle, podziemiu, przodkach, sądzie, próbie, powrocie, śmierci i odrodzeniu.

Czy były to mapy metafizyczne? Psychologiczne? Symboliczne? Rytualne? Społeczne? Wszystko naraz?

[fragment rozdziału]

Nie jestem pierwszy, który poczuł, że zwykła świadomość jest tylko jednym trybem działania.

To daje pokorę.

Bo jeśli przez tysiące lat ludzie tworzyli rytuały, pieśni, mity, ceremonie, opowieści, zakazy, przewodników i sposoby powrotu, to znaczy, że wiedzieli coś bardzo ważnego: brama jest realna jako doświadczenie.

Nawet jeśli nie wiemy, czym jest po drugiej stronie.

I właśnie dlatego nie wolno podchodzić do niej jak do zabawki.

Nie wolno też traktować jej jak śmiecia.

Trzeba podejść z szacunkiem, z ostrożnością, z rozumem. Z pamięcią o tych, którzy byli przed nami.

I ze świadomością, że współczesne słowo „narkotyk” może być zbyt małe, zbyt płaskie i zbyt późne, żeby opisać coś, co człowiek znał długo przed powstaniem naszej epoki, naszych ustaw, naszych lęków i naszych uproszczeń.

Bo zanim nazwano to narkotykiem, człowiek widział w tym bramę.

A brama nie staje się zwykłą dziurą w ścianie tylko dlatego, że ktoś przykleił do niej zakazujący znak.

PUBLICZNE DEMO KSIĄŻKI — © N. Promet

To tylko fragment.

Pełna wersja książki planowana jest jako wydanie drukowane.

Informacje o postępach prac:

npromet.pl

Kiedy umarł ten, którym byłem

N. Promet